

Wojna się skończyła,
ale niektóre tajemnice
nie odeszły w zapomnienie...

Trzy
ŻYCIA
ALIX
ST. PIERRE

NATASHA LESTER



NATASHA LESTER

Try
ŻYCIA
ALIX
ST. PIERRE

PRZEŁOŻYŁA

Matylda Biernacka



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Three Lives of Alix St. Pierre

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczynie: Monika Rossiter

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Kinga Dąbrowicz

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © kharchenkoirina, © scaliger, © g215 / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2022 by Natasha Lester

The moral right of the author has been asserted.

All rights reserved.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Matylda Biernacka, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-222-2

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



ROZDZIAŁ 1

Tylko jeśli drabiny i puszki z farbą były noszone przez modnych paryżan, Alix mogła stać na progu domu mody. Zanurkowała, żeby uniknąć kolizji z mijającą ją deską, i po raz co najmniej setny, odkąd zerwała umowę i wsiadła na statek z Manhattanu na podstawie zaledwie jednego skąpego telegramu od Suzanne Luling, zastanowiła się, czy postąpiła właściwie. Salon znajdował się w stanie całkowitego *déshabillé*, w zasięgu wzroku nie było widać ani sukni, ani modelki, a Alix przyprowadziła o lęk myśl, że ten nowy dom mody pewnie spadnie ze swoich koturnów przy pierwszym pokazie.

Powinna się odwrócić na pięcie i dać nogę. Ale za jej plecami przepychał się kandelabr i blokował drogę ucieczki. Znalazła się w pułapce.

– Alix! – Na schodach pojawiła się Suzanne Luling, która władczym palcem wskazała mężczyznę taszczącego kandelabr i pokierowała go naprzód.

Następnie zeszła na parter i na obu policzkach Alix umieściła precyzyjnie wymierzony, acz czuły pocałunek.

– Ile czasu minęło.

– Za dużo – powiedziała Alix ciepło, po czym dodała: – Kiedy byłaś tak bardzo zajęta przekonywaniem mnie, żebym pracowała dla nowego domu mody, zapomniałaś wspomnieć, że sam dom nadal jest w fazie przymiarek.

– Monsieur Dior chciał, żeby wszystko było nowe – wyjaśniła Suzanne, obejmując ją ekspresyjnie ramieniem i kierując tak, żeby patrzyła raczej na wdzięczny łuk schodów, a nie na brak dywanów. – W tym sam dom. Tak chyba najlepiej zaczynać... Nie sądzisz? Nie zabierać ze sobą nic starego.

„Nie zabierać ze sobą nic starego”. Alix zajęła się zdejmowaniem kape-lusza, żeby powstrzymać dreszcz, który z całą pewnością pochodził z daw-nych czasów, z przeszłości, którą, jak jej się zdawało, już za sobą zostawiła, a jednak w takich chwilach odkrywała, że przeszłość wciąż tam jest – jak suknia z zaciętym suwakiem, której w życiu nie będzie w stanie zdjąć.

Z nietypowo dla Suzanne poważnego wyrazu twarzy Alix wносиła, że ona też myśli o ich ostatnim spotkaniu pewnej szalonej nocy w kwietniu 1945 roku w pełnym przepychu mieszkaniu Suzanne przy quai Malaquais. Był to przystanek w drodze powrotnej Alix ze Szwajcarii do Nowego Jorku i choć Alix powiedziała bardzo niewiele, to niedające się opanować drze-nie rąk wyjawiało sporo.

– Oprowadzisz mnie? – spytała teraz, pragnąc skoncentrować się wy-łącznie na tym, co nowe, tu i teraz.

– *Bien sûr, chérie.*

Suzanne ujęła ją pod ramię i weszły po schodach na górę. Starsza ko-bieta miała na sobie typowy strój złożony z czarnej spódnicy i marynarki, które w połączeniu z jej posągową figurą zdawały się pełnić funkcję zbroi chroniącej przed wszelkimi deskami i pędzlami. Alix, której cierpliwość do garsonek skończyła się wraz z wojennymi czasami reglamentacji, wło-żyła tweedowe kremowo-zielone spodnie z podwyższonym stanem i sze-rokimi nogawkami oraz jedwabną czerwoną bluzkę. Jedynym sygnałem ostrzegawczym, że zaraz pozna właściciela domu mody, był szept Suzanne:

– Dopilnuję, żeby *le patron* wybaczył ci te spodnie.

Po czym zniknęła, a Alix stanęła przed mężczyzną siedzącym na górze schodów z rozłożonymi wokół siebie papierami.

Le patron – monsieur Christian Dior, nowy pracodawca Alix. Pierwsze wrażenie, jakie odniosła, to uroczą krągłość. Jego głowa była sklepiona ni-czym Les Invalides, usta stanowiły okrąg koncentracji. Miał na sobie bia-ły płaszcz ochronny narzucony na zwyczajne spodnie, koszulę i krawat.

Nic nie wskazywało na kogoś, kto rozumie serca i umysły kobiet do tego stopnia, że potrafił olśnić je sukniami. Ale Dior pracował z Lucienem Longiem, przewodniczącym Izby Handlowej Producentów Mody, a jego przedwojenna kolekcja Café Anglais dla Pigueta była jedną z najgoręcej omawianych w sezonie. Był obdarzony talentem. I ewidentnie nie miał nic przeciwko pracy w każdej możliwej przestrzeni, skoro siedział teraz w takim, a nie innym miejscu.

– Podoba się panu widok stąd? – spytała, wskazując serpentynę żelaznej balustrady, która ciągnęła się w dół, po remontowy chaos panujący na parterze.

Monsieur Dior rzucił zaniepokojone spojrzenie na jej spodnie. Alix nie ugięła się ani nie przeprosiła. Znadto przywykła do męskich ocen i nauczyła się je znosić – a przynajmniej stwarzać takie pozory.

– Podoba mi się ta przestronność – odparł w końcu Dior. – W studiu nie ma wystarczająco dużo miejsca na moje myśli. Sama wkrótce się o tym przekonasz.

– Czy schody staną się również moim biurem, czy może jest tu jakiś składzik, do którego dam radę się wcisnąć? – Zaryzykowała żart, bo możliwe, że mężczyzna, który pracował na schodach, mógł się różnić od wszystkich jej poprzednich szefów, z wyłączeniem Carmel Snow.

Le patron odpowiedział taką lawiną słów, że Alix z konsternacją rozważała możliwość, czy rzeczywiście był nieco nieśmiały.

– W najbliższych tygodniach będziesz potrzebowała poczucia humoru – powiedział. – Szczególnie gdy dowiesz się, że do utworzenia Domu Mody Christiana Dora nakłoniła mnie wróżka. *J'ai la frousse*, zamierzałem się wycofać. – Zamilkł. – Skoro już wiesz, że polegam na wróżbach, zapewne wrócisz do Nowego Jorku.

Miała pracować dla mężczyzny, który nie tylko nie potrzebował biura rozmiarów własnego ego, ale też konsultował się z wróżkami. Uśmiechnęła się i usiadła obok niego.

– Wróżka musiała powiedzieć coś zachęcającego, w przeciwnym razie by nas tu nie było. Myślę więc, że zostanę. Żeby sprawdzić, jak trafne są przepowiednie wróżek.

Kąciki ust Diora uniosły się w śladowym uśmiechu.

– Mimo spodni podobasz mi się, zgodnie z zapowiedzią madame Luling. Co powiesz jednak na to, że otwarcie Domu Mody Christiana Diora ustaliłem na dwunastego lutego?

Odpowiedź Alix była szczerą.

– Amerykańscy redaktorzy modowi opuszczą już Paryż. Zdaje pan sobie sprawę, że pokazy mają się skończyć tydzień wcześniej. A jeśli pragnie pan być kimś więcej niż tylko dobrym krawcem z paroma wiernymi klientami, będzie pan potrzebował amerykańskiej prasy.

– Jeśli to prawda – rzekł *le patron* w zamyśleniu – będziesz musiała przekonać amerykańskich redaktorów modowych do zaczekania na moje otwarcie.

Co było zadaniem trudniejszym niż przekonanie amerykańskich redaktorów modowych, aby nigdy więcej nie brali do ust szampana.

Do tej pory zarezerwowali już bilety na koniec stycznia, co oznaczało, że opuszczą Francję przed dwunastym lutego. Alix musiała przekonać ich, żeby poprosili naczelnych o pokrycie kosztów zakwaterowania na kolejne dni i zmiany rezerwacji na rejs transatlantycki – a wszystko to przez wzgląd na karierowicza, któremu obojętny był kłopot, jaki sprawiał tak późno zorganizowanym w sezonie pokazem.

Tyle że Dior nie był ani karierowiczem, ani kimś bezmyślnym, stwierdziła. Przyglądała mu się z tym samym stopniem uważności, jaką i on skoncentrował na jej obliczu.

– Celowo zdecydował się pan na tak późny termin – wysunęła hipotezę. – Pokaz w tym samym czasie, co inni, niósłby ryzyko, że zginie pan w tłumie lub zostanie przeoczony przez wykończonych redaktorów. Pokaz w późniejszym terminie z jednej strony może sugerować, że warto dla pana przedłużyć pobyt, z drugiej zaś – że jest pan ignorantem albo egoistą. Moje zadanie to przekonanie wszystkich do tej pierwszej wersji. A jeśli nie dam rady... to ja wyjdę na ignorantkę, a pan będzie projektantem, któremu szefowa działu prasowego nie umożliwiła odkrycia jego talentów. Na szczęście lubię wyzwania.

– Tak mówiła Suzanne.

– Suzanne jest mi winna drinka – wymamrotała Alix.

Tego rodzaju wyzwanie – przymilanie się do każdego amerykańskiego dziennikarza, żeby zechciał zarezerwować sobie dodatkowe dwa tygodnie w Paryżu i wziąć udział w pierwszym pokazie Diora – miało jednak zabrać jej cały czas i energię, nie pozostawiając ani godziny na refleksję. I właśnie to lubiła i po to przyjechała do Paryża – by zacząć od nowa, zupełnie jak Maison Christian Dior. Co czyniło z nich bratnie dusze.

Pokiwała więc głową – jak gdyby istniała szansa, że dokona innego wyboru, kiedy w torebce miała obecnie zaledwie parę franków, bo całe swoje oszczędności zużyła na zakup biletu w trzeciej klasie na statek, który ją tu zabrał.

– Dzisiejszy dzień poświęć na zaaklimatyzowanie się, a jutro rano spotkaj się tu ze mną o dziesiątej. Oprowadzę cię po studiu – powiedział Dior.

Być może dlatego, że nigdy dotąd nie miała szefa, który siedziałby obok niej na schodach, Alix nie mogła się oprzeć żarcikowi na pożegnanie – czemuś, co mogła powiedzieć niemal dziesięć lat wcześniej, gdy była wylewną osiemnastolatką.

– Nie omieszkam ponownie włożyć spodni. Nie uważam, żeby spodnie i szczyt schodów stanowiły elegancką mieszankę.

Jakby za sprawą szóstego zmysłu zjawiła się znów Suzanne i zabrała Alix, z oczami błyszczącymi w sposób, który mówił, że podsłuchiwała całą rozmowę. Wspięły się po kolejnych schodach, a na samej górze do ich uszu zaczęły dobiegać dźwięki prac charakterystycznych dla domu mody: szelest rozwijanego na stole jedwabiu, nożyczki tnące bawełnianą surówkę, brzęk rozsypujących się na podłodze szpilek.

– Atelier znajduje się na poddaszu – oznajmiła Suzanne.

Alix przyjrzała się belom materiału zalegającym na piętze i chyłym się ku poddaszu, jakby pragnęły otrzymać prawo wstępu. To stamtąd dobiegały odgłosy, które słyszała, i wkrótce minęła zwoje tafty o rozczarowującej długości i znalazła się w pracowni tak tryskającej energią, że niemal widziała tańczące w powietrzu pomysły.

Petites mains – szwaczki – siedziały w rzędach na stołkach przy biurkach, a spod blatów wyciągały napastrki albo *découd-vite* czy poduszeczki

na szpilki. Pracowały ramię przy ramieniu, z głowami pochylonymi nad igłami, a ich palce obracały delikatnie tkaninę, która trafiała do nich w postaci płaskiej i pozbawionej życia, a opuszczała je przeistoczona w rękaw, szarfę lub falbanę czekającą na spódnice.

– To pracownia *flou* – powiedziała Suzanne. – Sukien wieczorowych z jedwabiu, szyfonu i najdelikatniejszej wełny. A to – minęła drzwi – *tailleur*, z cięższymi materiałami na garnitury i strojeienne.

Alix zakręciło się w głowie od jaskrawej czerwieni beli jedwabiu położonej na stole w cieniu falującej, częściowo ukończonej sukni, stojącej teatralnie z boku, jak gdyby czekała na swoją kolej. Zjawiskowa kolekcja tkanin leżała wyczekująco, gotowa, by tchnięto w nią życie. W każdym kącie wyczuwało się *étincelle* magii. Niedowierzająca dłoń Alix wyciągnęła się, by wszystkiego dotknąć: jedwabistej satyny, szkiców, sukni – i własnego, pełnego zachwytu uśmiechu.



Do północy małeńkie pomieszczenie obok wejścia, zajmowane obecnie przez Alix – które w istocie musiało być kiedyś składzikiem – nieco bardziej przypominało biuro. Połowa należąca do Suzanne była elegancko uporządkowana i zadbana jak jej właścicielka, mimo że mieściła asystentkę, kilkanaście katalogów zawierających numery telefonów paryskich stylistów, dwa aparaty telefoniczne, strój na zmianę na koniec dnia, butelkę brandy i kilka kryształowych szklaneczek. Z kolei w części Alix znajdowały się tylko dwa krzesła, biurko i półka na książki. Nie było tutaj jakichkolwiek przedmiotów ozdobnych. Uprzątnięcie sporej porcji rupieci dało Alix bardzo satysfakcjonujący dzień pracy.

Mimo późnej pory wciąż miały robotę do wykonania – ale nie w *maison*. Alix i Suzanne ruszyły migotliwymi Champs-Élysées, przecięły nazbyt spokojny Place de la Concorde, gdzie najbardziej rzucał się w oczy powojenny niedostatek samochodów, po czym skręciły na północ w stronę niczym nieprzycmionego blichtru Ritza, który przetrwał wojnę jak prawdziwy dyplomata, dbając o zadowolenie wszystkich stron.

Idąc foyer, Alix zignorowała wystawy pełne kosztownych rzeczy, na które nie było jej stać, i uśmiechnęła się, kiedy dotarły do baru, dyskretnego i spokojnego lub żywiołowego, w zależności od tego, na co wskazywał nastrój danej osoby. Dziś wieczór Alix pragnęła żywiołowości: toastu na swoją cześć za przyjazd do Paryża i danie sobie trzeciej szansy na zrobienie wszystkiego, jak należy.

– Ja stawiam – powiedziała, chociaż miało to jeszcze uszczuplić małe rezerwy franków. – W podziękowaniu za pracę.

– W takim razie poszukam dla nas miejsca – odparła Suzanne i wskazała niewielki stolik otoczony tłumem paryskich redaktorów i dziennikarzy, których Alix musiała nakłonić urokiem osobistym do napisania o Domu Mody Christiana Diora. – Zawsze najlepiej rozpocząć właściwą pracę tuż przed pierwszą w nocy i z drinkiem w dłoni.

Alix się roześmiała.

– Pewnie tak.

Kiedy Suzanne znalazła się poza zasięgiem głosu, odwróciła się do Franka, amerykańskiego barmana, który uśmiechnął się do niej.

– *Bonsoir, mademoiselle*. Minęło dużo czasu.

– Owszem.

– To, co zwykle?

– Tak. I koniak dla Suzanne.

Obserwowała, jak wyjmuje gin, syrop cukrowy i cytrynę, wstrząsa je parokrotnie w shakerze, nalewa napój do *coupe* i dopełnia szampanem.

– *Voilà* – powiedział. – *Un soixante-quinze*.

– Masz doskonałą pamięć, Frank – odparła z uśmiechem.

– Działa dobrze względem tego, co należy pamiętać, a gorzej względem tego, czego nie należy. Szczególnie z okresu wojennego. Drinki na koszt domu. Zawsze.

Powiedział dokładnie to, co chciała usłyszeć. Co oznaczało, że była gotowa zapoznać się na nowo z *le tout-Paris*.

Usiadła obok Suzanne, która zawsze nie tylko doskonale wiedziała, kto jest kim, ale także znała ich indywidualne historie. Podzieliła się z Alix użytecznymi i precyzyjnymi szczegółami.

Wielu Alix już znała – Michela de Brunhoffa z „Vogue’a”, ilustratora mody Christiana Bérarda – ale wśród Brytyjczyków i Amerykanów pojawiły się nowe twarze, z których dwie robiły, co w ich mocy, by zbudować relacje międzynarodowe, jeśli tylko wnioskować z ręki mężczyzny obejmującej ramiona kobiety i jej chichotu.

– To Becky Gordon – powiedziała Suzanne. – Angielka. Tak zielona, że aż piszczy. Pracuje dla „Timesa”, córka chrzestna kogoś z właścicieli gazety. A ten, który wygląda, jakby chciał połknąć Becky na przystawkę, to Anthony March, trzeci i niepokorny syn Montgomery March, baronowej amerykańskich czasopism. Teraz, kiedy jego dwaj starsi bracia leżą tu gdzieś we Francji, Anthony został zmuszony nieco ukrócić własne rozrywki i zabrać się do pracy. Jest redaktorem międzynarodowego wydania „New York Journal” i prowadzi bardzo bujne życie, jak widzisz.

Alix zmarszczyła nos, obserwując, jak Becky rusza za Anthonym do windy.

– Jest zbyt... – Szukała właściwego słowa, żeby opisać jego atrakcyjną, acz wystudiowaną aurę. – Upozowany – zdecydowała. – Jakby sądził, że zaraz ktoś go sfotografuje.

Po drugiej stronie pomieszczenia dłoń Becky powędrowała do jej włosów, a potem palce zajęły się rękawami żakietu.

– Sądzi, że go rozczaruje – zgadła Alix.

– Takiego mężczyznę, zapewne.

Alix miała ochotę złapać dziennikarkę za rękę i szepnąć jej do ucha ostrzeżenie, bo niegdyś sama była równie naiwna jak ona. Nie było jednak szansy, by Becky posłuchała zupełnie obcej osoby. Pożegnała się więc z Suzanne, zostawiając niedokończony drinka oraz wspomnienie zielonej dziewczyny, która miała jeszcze dużo lekcji do odrobienia.

Na zewnątrz zobaczyła mężczyznę opierającego się o ścianę i palącego papierosa, jak gdyby potrzebował zarówno orzeźwienia grudniowym nocnym powietrzem, jak i pociechy samotnego gauloise’a. To był Anthony March, który nie mógł przecież skończyć tak szybko z Becky. Być może dziennikarka była mądrzejsza, niż na to wyglądała, i wróciła jednak do swojego pokoju.

Na tę myśl uśmiech powrócił na twarz Alix, która wkrótce sama znalazła się w swoim małym *pension* przy rue du Cirque, gdzie padła na łóżko. Kolejny początek – przepłynęła dniem i nocą z powrotem do Europy, wypijała tylko łyk szampana i zamierzała zasnąć, tak żeby mieć jakieś cztery godziny odpoczynku, co, jak wiedziała, wystarczało.



Następnego dnia Alix uważnie dobrała strój na spotkanie z Christianem Diorem. Żadnych spodni, mimo obietnicy. Zamiast tego garsonka od Schiaparelli sprzed paru lat, odkupiona od Carmel Snow, która sprzedawała mało noszone stroje haut couture swoim „dziewczynom” z „Harper’s Bazaar” za cenę, na którą Alix prawie mogła sobie pozwolić. Garsonka była czarna z obowiązkową baskinką i poduszkami, ale miała akcent w postaci wszytego czerwonego paska. Zgodnie z zamierzeniem projektantki powinna być noszona z czerwonymi rękawiczkami i czerwonym kapeluszem, ale Alix wiedziała, że to *de trop*. Zdecydowała się w obu przypadkach na czerń i za plecami skrzyżowała dziecinnie palce.

Na jej widok *le patron* zmarszczył czoło jeszcze bardziej niż poprzedniego dnia.

– Jedna z moich *première* uszyje ci garsonkę, żebyś nie musiała polegać na mojej konkurencji.

Po czym posłał jej jeden ze swoich zwięzłych uśmiechów.

Alix się rozpromieniła. Właśnie na to liczyła, a po jego uśmiechu zorientowała się, że się domyślił. Co oznaczało, że nie będzie mogła ponownie zastosować tego tricku. Ale w takim mieście jak Paryż – gdzie inflacja sięgała wyżej niż wieża Eiffla – dziewczyna z minimalną pensją musiała korzystać ze wszystkich dostępnych technik.

Dior oprowadził ją po pomieszczeniach *maison*, których nie widziała poprzedniego dnia: *cabine*, gdzie ubierano modelki, sześciu małych przymierzalniach dla *les femmes*, czyli klientek – domena Suzanne będącej szefową działu handlowego – i studiu, które konkurowało z biurem Alix o tytuł najmniejszej przestrzeni w budynku.

– Jak widziałaś wczoraj, pracownice są niewielkie. *Maison* jest mały – powiedział Dior, wpuszczając ją do środka. – Dlaczego? Bo chcę praktykować najlepsze tradycje modowe, i to na najwyższym poziomie. A do pomocy mam „trzy matki”.

Na jego słowa zjawiły się trzy kobiety.

– To madame Raymonde – powiedział *le patron*, wskazując najbardziej surową kobietę w grupie. Przeszła ona z Diorem od Luciena Lelonga. Wyglądała na osobę, która mówi niewiele, ale zawsze bardzo celnie. – Ja nie szyję – wyjaśnił. – Ale muszę szkicować tylko to, co w jakiś sposób da się stworzyć. Madame Raymonde – uśmiechnął się – jest Rozsądkiem. Sprawia, że moja wyobraźnia staje się możliwa do urzeczywistnienia.

Przeszedł do kolejnej kobiety, madame Bricard, która zdawała się odychać zmysłowością, a nie powietrzem. Z turbanem w panterkę i chustą o tym samym wzorze przewiazaną na nadgarstku zamiast na szyi stanowiła ucieleśnienie powodów, dla których wymyślono słowo „ekstrawagancki”.

– Madame Bricard żyje wyłącznie dla elegancji – podkreślił Dior. – To moja inspiracja.

„A więc muza”. Mężczyźni niejako nie mogli bez nich żyć – czemuż Dior miałby być inny?

Ostatnią z kobiet była madame Carré, dyrektor techniczna domu. Podała Diorowi szkic, który on przekazał do rąk Alix.

Pierwsze, na co zwróciła uwagę, to linia ramion, lekko pochyła i bez szwów, zbiegająca łagodnie wzdłuż ciała. Zobaczyła dzięki temu, że wszystkie żakiety noszone przez kobiety na przestrzeni kilku ostatnich lat – w wielu przypadkach przerobione z męskich garniturów ze względu na reglamentację materiałów – nadawały im wygląd prostokątny i kanciasty. Ale kobiety takie nie są. Gorset sukni na rysunku nie zmieniał kobiecych kształtów, tylko je podkreślał.

– Niemal czuję, jak się porusza – powiedziała, przesuwając dłoń po pięknym kloszu narysowanej ołówkiem spódnicy, ukształtowanym niczym *coupe*, z którego piła w Ritzu.

Madame Bricard, wyraźnie nieprzekonana jeszcze o kwalifikacjach Alix, spytała chłodno:

– Gdzie byś ją włożyła?

– Gdzie bym ją włożyła? Do Ritza na drinka, do pracy, na kolację w La Méditerranée albo nawet na przechadzkę po Jardin du Luxembourg. Choć nie przepadam za przechadzkami – zaznaczyła Alix.

– Tam, gdzie pragnie się zachować elegancję – oznajmiła zwięźle madame Bricard. – Czyli wszędzie.

Teraz odezwała się madame Carré:

– Widzisz, jak spódnica opada niczym...

– *Coupe*. – Alix wypowiedziała na głos swą wcześniejszą myśl.

Madame Carré się roześmiała.

– Zupełnie jak *coupe*. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam szkic, pomyślałam, że to niemożliwe. Musieliśmy na nowo nauczyć się starych technik krawieckich, które ukrył przed nami czas. Użyliśmy całej szerokości beli jedwabiu, od krajki do krajki, ale upinaliśmy na modelce w poziomie. Kłosz *coupe* ma taki kształt, a nie inny, bo pod paskiem jest zawinięty plisowany dodatek na szew na trzynaście i pół jarda.

Alix zrobiła wielkie oczy, ponieważ pojęła, że to, co uznała za jakiś skomplikowany system halek, potrzebny, by spódnica osiągnęła tę niesamowitą pełnię, nie był niczym w tym rodzaju – to na bazie ukrytego podbicia suknia rozkloszowywała się w ten niezwykle kształt. Alix pragnęła takiej kreacji, jak niczego dotąd w życiu.

– Suzanne nazywa ją swoją sukienką. Doszły mnie słuchy, że szwaczki mówią tak samo – odezwał się *le patron*. – Postanowiłem nazwać ją Chérie. Słyszałem, jak Suzanne ciebie tak wczoraj nazwała. To oznacza, że sukienka jest twoja. Ale – dodał teraz surowym tonem – dopiero po dwunastym lutego.

Nie dało się nie uśmiechnąć, zupełnie jak wczoraj w atelier. Dior wskazał jej twarz.

– Właśnie dlatego to robię – powiedział. – Mam nadzieję, że uszczęśliwię kobiety.

Łzy, które nagle napłynęły jej do oczu, były zupełnie nieoczekiwane. Alix nie wiedziała, że wciąż jest w stanie płakać ani że to właśnie projektant mody ze wszystkich ludzi będzie tym, który ją rozrzewni. Ale jaki

mężczyzna na świecie zamierzał uszczęśliwiać kobiety? Mężczyźni chcieli od kobiet wielu rzeczy – Alix przekonała się o tym w Szwajcarii podczas wojny – lecz w większości odbierali im szczęście, a nie dawali radość. I właśnie dlatego w tej chwili omal nie zaszłochała. Nad sukienką.



Tej nocy Alix nie poszła do Ritza. Wróciła do swojego *pension*, wyjęła papier i długopis i zaczęła pisać.

*Do Lillie,
z Paryża*

*Tyle myśli krąży mi po głowie niczym spódnice na wietrze.
Gdybym była w domu, poszłybyśmy na obiad i zanim
zamówiłybyśmy lody, wszystko nabrałoby sensu. Te listy muszą mi
wystarczyć w zastępstwie.*

*Pracuję u Diora zaledwie od dwóch dni, ale już widzę, jak
bardzo różni się to od wszystkich prac, które wykonywałam po
wojnie na Manhattanie. W Departamencie Wojny miałam
przygotować plakaty nakazujące kobietom oddać swoje miejsca
pracy powracającym zza oceanu mężczyznom. Kobiety mogły
znaleźć sobie mężów i zadowolić się przygotowywaniem pieczeni,
mówili. Nigdy nie przyznałam Ci się, że to dlatego odeszłam – tak
bardzo chciałaś wyjść za Petera, że obawiałam się, iż poczytasz to
za krytykę Twojego wyboru. Tak naprawdę wcale nie odeszłam.
Powiedziałam szefowi, że jedyne, co zamierzałabym piec na
wolnym ogniu, to on sam, więc mnie zwolnił. Po tym incydencie
Carmel Snow zaproponowała mi pracę, ale wiedziałam, że
codzienna bliskość martini będzie zbyt kusząca. O tym również Ci
nie mówiłam.*

*Podjęłam więc pracę w „Glamour”, gdzie odkryłam, że
negocjowanie z mężczyznami przez dwa i pół roku wojny*

sprawilo, iż wydawałam się arogancka – uparta i niepokorna, takich słów użyli. I właśnie dlatego rzuciłam się z powrotem w świat mężczyzn. Sądziłam, że to jedyne miejsce, do którego pasuję. Wykorzystywałam swój talent do braku pokory codziennie u Goldmana i Sachsa, w świecie, w którym kobiety miały być albo sekretarkami, albo żonami – i odeszłam, bo mój szef zjawił się późnym wieczorem w moim biurze z butelką brandy w dłoni i mało wyrafinowaną propozycją upojnych chwil. Byłam już tak zmęczona używaniem całej inteligencji do wymigiwania się od tego rodzaju scenek, że powiedziałam mu, iż w torebce mam broń, strzelam w linii prostej niż prądki na jego garniturze, a jedyne, co może zrobić ze swoją brandy, to połączyć ją z moją umową i ją podpalić. Kiedy to piszę, niemal widzę komiczny aspekt tej sytuacji – ale w tamtym czasie wcale nie było mi do śmiechu. Kolejna rzecz, o której nigdy Ci nie mówiłam.

Tutaj, u Diora, nic takiego się nie wydarzy. Jestem chciana, Lillie. Nie masz pojęcia, jakie to przyjemne. I wreszcie mam cel, który wykracza poza przetrwanie i zapomnienie. Dior jest geniuszem. W życiu nie widziałam takiego projektanta, którego ołówek potrafi uchwycić to, co boskie. Zaczekaj, aż zobaczysz jego suknie. Suzanne uważa, że w ogniu twórczości wytyczy nowe ścieżki. A ja zamierzam rzucić się w płomienie z zamkniętymi oczami.

Uściski i bisous

Alix

Pisanie przypomniało jej tamtą noc, niemal dwa tygodnie wcześniej, kiedy o trzeciej nad ranem postanowiła udać się do Paryża. Widziała, jak ucieka przed szefem i wraca do mieszkania, gdzie powitała ją gazeta oznajmująca, że proces norymberski największych zbrodniarzy wojennych wreszcie się zakończył i w ciągu dwóch tygodni zostaną wydane wyroki.

Wiedziała, że za dwa tygodnie sprawiedliwości stanie się zadość, i powinna poczuć ulgę od wyrzutów sumienia, może całkowitą. Poczucie winy zaciskało się jednak mocniej, jakby chciało powiedzieć, że nawet sprawiedliwość jej nie wyzwoli – czego nie brała do tej pory pod uwagę. Nie, sprawiedliwość miała położyć wszystkiemu kres.

Spotkała się więc z Carmel Snow w Colony Club i starała dotrzymać jej kroku w drinkach. Ale troski Carmel musiały być bardziej odporne na martini niż Alix i wieczór zakończył się tym, że Carmel chwyciła Alix za nadgarstek swoimi giętkimi palcami i przedstawiła ją komuś jako swoją „protegowaną”. I przez wirującą mgłę ginu Alix zobaczyła, z jaką łatwością mogłaby się stać taka jak Carmel. Na tyle otępiła, żeby nie czuć bólu serca. Przez chwilę bardzo kusiło ją, by temu ulec.

I to było najgorsze.





Wróciła prędko do mieszkania i ponownie przeczytała telegram od Suzanne, i odkryła, że ma akurat tyle odłożone ze swojej lichej pensji, że stać ją na bilet na statek. Następnego dnia stanęła w porcie.

Nie mogła jednak powiedzieć o tym Lillie, nie chciała na nowo przeżywać kuszącej chwili pragnienia, by ulec nierozwadze – nie chciała, aby przyjaciółka wstydziła się za nią, tak jak ona sama wstydziła się za siebie.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca